



Henryk Sienkiewicz  
(1846 — 1916)

## Z puszczy Białowieskiej (1907)

Do puszczy jedzie się ze strony Bielska krajem otwartym, płaskim. Tylko przyrzeczne łąki przerywają jasną zielenią jednolitą szarej równiny. Rzecz dziwna, lasów naokół puszczy niema wcale, a wzrok lecieć może daleko, nim zgubi się w oddaleniu. Łatwość o drzewo z puszczy i niezmierna jego taniość sprawiły zapewne, że okoliczne wioski wycięły swoje bory. Ale okolica, a raczej jej malowniczość, na tem straciła. Jak okiem sięgnąć: rżyska, rżyska, łąny rozległe, smutne. Wsie wielkie, o porządnym zabudowaniu i jaskrawych, nowo-wzniesionych cerkwiach, leżące w środku pól, nie okolone są, jak gdzieindziej, dąbrowami, ni olszyną. Robi to wrażenie pustki, choć kraj tu żyzny, gleba pszeniczna, a osady szlacheckie i chłopskie bogate. Dopiero w pobliżu Hajnówki ujrzeliśmy widnokrąg zamknięty pasem boru. Była to puszcza. Dojrzeć ją można z większej odległości, niż inne lasy, nie tylko z powodu równości gruntu, ale z powodu ogromu drzew i wielkiej głębi obszarów leśnych. Skutkiem tych głębin, puszcza odrzyna się na skłonie nieba niezmiernie czarno, bez porównania wyraziściej i twardziej, niż knieje, jakie zdarzyło mi się widzieć w Królestwie. Gdyśmy zbliżyli się jeszcze więcej do Hajnówki, przed nami była jak gdyby wstęga kuru, której końca szły dalej niż wzrok. Ciągnie się też puszcza siedm mil wzdłuż i pokrywa 22 mile kwadratowe, nie licząc w to Świsłockiej, niegdyś Tyszkiewiczowskiej, obecnie rządowej. O ile mi wiadomo, jest to największy las w Europie. Drzewa też w nim nie ustępują wyniosłością i grubością żadnym innym. W pierwszej chwili jednak nie mogłem sprawdzić tego własnymi oczyma, gdyż zaraz z brzegu gościńca, wiodącego przez puszcę z Hajnówki do Białowieży, ogarnął nas mrok. Za puszczą było jeszcze dość widno, gdyż słońce ledwie co zaszło, ale odbłaski zorzy z trudnością przedzierają się przez mroczne głębie, a odwykłe od lasów oczy tem mniej widzą, im naglej przechodzą ze światła w cienie. Gościńiec tylko bieleł się między dwiema czarnymi ścianami, które jednak o kilkadziesiąt kroków dalej zdawały się zlewać z sobą. Droga jest równa, szeroka, okopana rowami. Idzie ona z brzegowej Hajnowszczyzny do Białowieży, leżąc w środku boru, potem dalej przez całą puszcę.

Jest to dawny gościniec królewski. Ujechawszy do ośmiu wiorst drogi wozem, resztę szliśmy piechotą, aż do osady leśnika, na połowie drogi do Białowieży. W osadzie tej mieliśmy zamieszkać przez czas pobytu w puszczy. Noc zapadła zupełna. Nad gościńcem widać było pas nieba, zasiany gwiazdami, a tam, gdzieś daleko, na brzegach leśnych, wschodził księżyc. Jednakże promienie jego nie rozświecały wnętrza puszczy, które przysłaniał opar, podnoszący się z wilgotnego gruntu. Było ono zamglone, zmacone, ciemne. Czarne sylwetki drzew przydrożnych rysowały się ledwie widomie dla oka, a dalej drzewa, opar i ciemność zlewały się w jeden nieprzenikniony bezkształt. Nie było przytem najmniejszego wiatru. Nie poruszała się żadna gałąź. Wszędzie cisza nieprzerwana. Czasem tylko zaskrzypiało koło wozu, idącego za nami. Mimowoli poddawaliśmy się tej ciszy i rozmawialiśmy półgłosem. Jeśli każdy las sprawia w ciemnościach pewne drażniące wrażenie czegoś nieznanego i tajemniczego, tem bardziej musi sprawiać je puszcza tak wielka, w której się jest po raz pierwszy. Tymczasem księżyc żeglował coraz wyżej i wyżej. Gościniec rozwidnił się, wilgoć połyskiwała we wklęsłościach drogi, a opar poczynął zsuwać się ku dołowi. Do osady leśnika było już niedaleko, gdyż od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie psów. Szliśmy jeszcze z pół godziny, poczem droga otworzyła się nagle w niewielką polankę leśną. Dojrzałem wysoki żywopłot, za nim zaś nakształt postumentu, błyszczącego jak srebro w świetle księżyca. Jest to olbrzymi brązowy żubr, odlany i wystawiony tu na pamiątkę jakiegoś dworskiego polowania. Sama osada leśnika składa się z dworku, lamusa, w którym przechowują się skóry żubrzej, i ze stodoły. Całość, ogrodzona częstokołem, wygląda jak gdyby obronna. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Ameryce i że przybywamy do osady skwatter. Ta noc, puszcza, chata zagubiona w głębinach leśnych, wszystko to żywo przypominało mi rzeczy, widziane na drugiej półkuli. Złudzenie powiększała jeszcze krzątania, jaka zwykle towarzyszy przybyciu i roztasowywaniu się w nowym miejscu. Nasz wóz, zaprzężony w sześć koni i zbudowany umyślnie na wyprawę, a mieszczący wygodnie dwanaście osób, mógł też przypomnieć owe „team’y” pitsburskie, owe „okręty stepu”, krążące po pustkowiach Nebraska lub Wyomingu. Teraz wyprzęgano właśnie z niego konie przy świetle latarni, a zarazem ku wielkiemu zainteresowaniu psów miejscowych, wypakowywano zapasy żywności.

Podróż nasza, dzięki kilku towarzyszom, była obmyślana i zapowiedziana z góry w puszczy, tak, że leśnikowi nie zrobiliśmy niespodzianki. Ofiarował też nam, co mógł ofiarować, to jest ogień w kuchni i izbę, w której mieliśmy nocować. Wkrótce obozowisko było gotowe, i przybytek myśliwski zapełnił się dymem cygar, papierosów i miłym dla każdego polskiego nosa dymem potrawy, w której, wedle słów Mickiewicza, kapusta:

Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa  
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa

I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie  
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war tryśnie,  
I powietrze dokoła zionie aromatem.

Otóż powietrze zionęło aromatem; „strzelcy bodli naczynie”; psy odprowadzały oczyma każdą łyżkę, niesioną z talerza do ust, a dźwięk talerzy i łyżek mieszał się z gwarem wesołej rozmowy o jutrzejszej wycieczce w głąb zwierzyńca i o żubrach. Bądźcobądź miło jest sobie powiedzieć: »Jestem w Białowieskiej puszczy, o której prawili mi mój dziad i ojciec, i będę jutro widział żubry, których prawdopodobnie ani dziadek, ani ojciec nie widzieli. „Milej jeszcze, gdy się taką wyprawę odbywa w dobranem i sympatycznym towarzystwie, gdy się ma spędzić kilka dni życiem koczowniczym, pełnem wrażeń, na wycieczkach w różne «straże» nieznaney kniei. Nakoniec, nie jest nieprzyjemną i myśl, że w przerwach poetycznych natchnień, jakimi obarcza duszę puszcza, będzie się miało do czynienia z bigosem. Z dawnych czasów zostało w nas trochę żyłki żołnierskiej, więc gdy się człowiek znajdzie na jakimś improwizowanem choćby obozowisku, gdy się oderwie od pióra, biura i krzesła, w które całe życie wrasta, to i duszy wesoło. Jest w tem coś nowego, niezwykłego.

Oto np. ściany izby, całe ubrane są w rogi jelenie, daniele i łosie... Przez małe okienko połyska w świetle księżycy żubr brązowy, a dalej stoi nieruchoma puszcza. Po wieczery wychodzimy na ganek i na majdan. Widno, pogodnie. Mgła już znikła. Konie, skupione przy wozie, chrupią obrok. Jak cicho! ale jak cicho! przestronno, poważnie, dobrze! Oko, choć przy księżycu, widzi, że tu sosny jakies odwieczne, wynioślejsze niż gdzieindziej. Może dlatego nie wlażyły dotąd Żydom w kieszeń. Nikt też nie potrzebuje robić z nich miotły dla wymiecienia jakiej, niezbyt czystej hypoteki. Czasem tam popłynie cicho która z tych matron Lśną lub Narewką, ale to rzeki za małe, by cała Białowieża mogła niemi wypływać — sosny więc stoją ogromne, strzeliste, i teraz oto księżyc gra po nich, jak grał sto lat temu; oświeca ich czuby, wdziera się w przerwy między gałęzmi i upada na grunt puszczy, w kształcie grubych białych snopów i pasem. Rzekłbyś: duchy przechadzają się wśród kolumn. Prawdziwe czarodziejstwo leśne. Głębokie cienie i tuż drgające plamy srebrne! Coś tam porusza się, coś żyje! Tylko czekać, jak zaśpiewa dziwożona. Ale i bez tego chciałoby się choć zaraz iść w głąb.

Tymczasem zbliża się ku nam gospodarz. Jest to młody jeszcze człowiek, o twarzy zamyślanej i trochę posępnej, jak zwykle ludzie leśni, którzy większą część życia przepędzają w samotności. Nasz zapewne od dzieciństwa chował się w puszczy, a może nietylko on, ale i jego ojciec i dziad, bo urzędy leśników przechodzą z ojca na syna.

— Czy panowie słyszeli jelenie? — pyta przeciągłym głosem.

— Nie. Czy można je stąd słyszeć?

Leśnik patrzy przez chwilę na gwiazdy.

— Tylko słycać, jak rozpoczną. Teraz, panie, bekowisko. Samce straszą się po całych nocach. Taki ryk, że człowiek niezwycajny i spaćby nie mógł.

Leśnik patrzy przez chwilę na gwiazdy.

Jakoż nie trzeba było długo czekać. Krótki urwany, chrapliwy ryk zagrział nagle wśród ciszy i natychmiast odpowiedział mu drugi. Konie przy wozie, jako pochodzące z równin i nie przywykłe do lasów, ni do podobnych głośów, targnęły za postronki, przestały jeść owies i strzygąc uszyma, poczęły chrapać niespokojnie. Tymczasem cała puszcza rozebrzmiała naokoło, w samym bowiem zwierzyncu, na którego skraju stoi chata, jest przeszło sto sztuk jeleni. Zwierzyniec to nielada. Stanowi go sześćdziesiąt włók lasu, ogrodzonych częstokołem — lasu, tak dzikiego, a miejscami bagnistego, jak każdy inny. Są tam osobne części dla żubrów, dzików i jeleni. Głosy tych ostatnich rzeczywiście nader są przykre i ponure. Ryk składa się z krótkich, urywanych, gardłowych brzmień. Chwilami przechodzą one w przeciągłe, chrapliwe jęki lub basowe, stłumione stakatta, w których nadzwyczaj wyraziście znać gniew, rozpacz lub zaciekłość. Samcy wyzywają się w ten sposób i straszą.

Wśród nocy rozegrywają się podczas bekowiska prawdziwe dramata natury. Leśnik nasz podpatrywał je niejednokrotnie. Na księżycowych polankach, wśród bagien i zarośli, samce toczą bój na śmierć i życie. Karki i grzbiety ich, powyginane w kabłąk wysileniem, prą się wzajemnie. Rogi uderzają o siebie; czasem się płaczą — a wówczas zczepieni zapaśnicy wodzą się wzajemnie po polance. Gardziele ich ryczą i charczą. Nozdrza dymią — naokoło zaś z krzaków i między drzewami widać przy księżycu wdzięczne głowy łań, czekających na rezultat walki. Rankiem leśniczy często znajduje trupy samców. Często stają się one łupem kłusowników, gdyż zapamiętawszy się, nie słyszą kroków człowieka. Korzystają również z takich walk wilki i rysie. Wilków wprawdzie mało jest w puszczy: co większa, rozdrażniony jeleni broni się zaciekle; ale przed rysiemy, rzucającym mu się na kark z drzewa, nie może się uchronić.

Nazajutrz rankiem wyszliśmy pod przewodnictwem leśnika, obiecano nam bowiem widok żubrów. Po dniu można się było doskonale puszczy przypatrzeć. Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedynczych straży, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośrednim sąsiedztwie. Spoglądając w dal, widzisz wszystkie odcienie zieloności — od ciemnej, aż do jasno-żółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, którego tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie rozrasta się tam szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniemy, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach przykrywają cieniem gałęzi takie szerokie przestrzenie, tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Owóż i w tych miejscach

dostrzegamy przedewszystkiem gładkie, smukłe pnie, podobne do szeregów masztów, ustawionych obok siebie i nakrytych jedną zieloną kopułą. Dąb nie krzywi się w puszczy, nie łączy w węzły, ale wyrasta, jak trzcina. Sosny mają czterdzieści łokci do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła — wyrasta więc cienki, gonny — rzekłbyś: drzewo myśli o grubości dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może. Stare drzewa stoją jednak dość rzadko. Młodzież pod nimi przeważa. Tylko w części, zwanej Browskiem, w Nieznanowym Rogu i koło Zamczyska, znajdują się miejsca, pokryte jednolitym starodrzewem, stojącym w zbitych masach. Ale tam też, u stóp olbrzymów, z powodu wiecznego mroku młody las rosnąć nie może; tam ledwie gdzieś tułi się paproć blada, rdzawa — zresztą grunt pokryty jest tylko uschlęm igliwem, zwiędłym liściem, próchnem z umarłych dawno drzew, które nocą świeci błękitnie — i zwałami. W tej części, którą przechodziliśmy teraz, olbrzymy stoją pojedynczo, jak strażnicy, jak ojce. Pod nimi młoda gęstwina się zieleni. Grunt zwierzyńca, niski i wilgotny, w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, pochylał się coraz bardziej i stawał się miejscami bagnisty. Wyteżaliśmy wzrok, czy gdzie wśród zieleni nie zobaczymy żubrów. W puszczy możnaby ich szukać całe tygodnie, ale w zwierzyńcu łatwiej je wypatrzeć. Chłopi z Bud, których trzeba nająć umyślnie, znalazłszy stado, naganiają je na zwiedzających, i wówczas, schowawszy się za sosny, można przyjrzeć się mu dokładnie.

Należy tylko uważać, by nie wychylić się za wcześnie, bo spostrzegłszy ludzi przed sobą, spłoszone zwierzęta zmieniają natychmiast kierunek i nikną, nim oko pochwycić zdoła ich kształty. Przez długi czas szliśmy w milczeniu, wyteżając wzrok i nie widząc nic.

Naokoło rozlegało się tylko kucie dzięciołów w spróchniałe sosny, krzyk sojek i żołn. Droga stawała się błotnistą. Gdzieś tu błyszczały dość głębokie kałuże wody, w których kąpią się jelenie. Miejscami widać było wyraźnie odcisnięte w błocie ślady potężnych racic żubrowych — ale na żubry nie mogliśmy trafić. Natomiast coraz częściej pierchały w oddali jelenie, których rudawa odzież miga, jak błyskawica, wśród zieloności. Puszcza stawała się gęstsza. Nakoniec zesliśmy stadko łań tak blisko, że można się im było dokładnie przyjrzeć.

Krótko to jednak trwało. Wkrótce wysmukłe szyje poczęły się chwiać i podnosić, rozwarte, ruchome nozdrza badały niespokojnie powietrze, nastawiane uszy poruszały się szybko — i nagle stado mignęło, zaszeleściło zarośla. Kilka grzbietów błysnęło ponad krzakami i znikło.

Zrobiliśmy mały wypoczynek. Tymczasem przyjechał nadleśny, który wysłał budników na poszukiwanie żubrów. Była obawa, że, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli pognać stado w inną stronę. Nagle, w oddali, pokazał się jakiś wieśniak i szedł śpiesznie, jakby nam chciał co zwiastować.

— A co tam? są żubry? — spytałem go.

Chłop zwrócił na mnie wielkie, jakieś przestraszone niebieskie oczy — ogarnął nimi całe zgromadzenie, i przeszedł śpiesznie, nie odrzekłszy ni słowa. Uderzyła mnie jego twarz. Była wychudła, blada, a w spojrzeniu miał coś nieprzytomnego.

— To waryat — rzekł nadlesny. — Dobry człowiek, nikomu nie robi nic złego. „Dobry mały”. Błąka się tak po całych dniach, jakby kogoś szukał. Nocą przychodzi do Bud. Dają mu jeść. Biedne człeczysko.

Rzeczywiście był to wieśniak z Bud, który zwaryował — jak się zdaje — z przerażenia, w czasie ostatniej wojny tureckiej, w której brał udział, jako żołnierz. Odesłano go do domu i odtąd przebiega w rozmaitych kierunkach puszczy, jakby kogoś poszukiwał. Do ludzi nic nie mówi. Spotkawszy kogoś, mija go z pośpiechem, rzucając mu to pytające i jakby przyłękłe spojrzenie, które tak silnie utkwilo mi w pamięci.

Szczególnie spotkanie... w puszczy.

Nadlesny odjechał. Po chwili zjawił się jeden z budników.

— Schowajcie się, schowajcie! — wołał. — Zaraz będą szły tędy.

Skoczyliśmy co prędzej do sosen — żubry szły rzeczywiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitymi kudłami, zwieszającymi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrawszy nas, czy też zwierzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki, i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z nimi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy. Krasne łanie biegły beładnie becząc, za nimi zaś ostatni podążał jelen, jakiś zwycięzca z wczorajszej walki, uwieńczony potężną koroną rogów. Teraz biegł za nimi w ciężkim galopie, przechylając przeciążoną głowę na grzbiet. Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać z sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie więcej, niż o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do

kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu, i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nietylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi przybyłych z daleka i noszących nieznanne im ubiory. Wogóle jednak żubry są płochliwe, i gdy ranny jelenź rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich pośepnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nietylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawymi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem, i rzuca się naoślep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzymia jak najdalej. Bywają także wypadki, że w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest: uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depcze go i rozmiążdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę. Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszków, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna zarazem, to i siła jego nie jest mniejsza. Dowodem tego jest wypadek, jaki niedawno zdarzył się w Budach. Chłopi puszczańscy, siedząc we wsiach, położonych koło biegu rzeczek i strumieni, mają przepyszne pastwiska, a co za tem idzie i byłó tak piękne, jakiego gdzieindziej nawet i w wielkich gospodarstwach nie znaleźć. Jest to wspaniała leśna rasa o wysokim zadzie, niskim przodzie i kościach okrągłych — rasa bardzo mięsista i mleczna, hodowana z zamięłowaniem i starannością. Ponieważ jednak wsie puszczańskie leżą czasem po pięć i sześć mil w głębi puszczy, i gospodarzom daleko było jeździć do dworów, trzymających stadniki, zakupili więc sobie składkowym sposobem olbrzymiego buhaja, który miał stale w Budach rezydować. Na nieszczęście, tuż do Bud przypiera częstokół żubrowego zwierzyńca. Buhaj, wyrwawszy się w nocy, obalił dwa przęśła częstokołu, wszedł do zwierzyńca i spotkał się ze

starym pojedynkiem. Zaczęła się walka, przy której obecni byli rozbudzeni chłopci. Próbowali nawet przerwać ją krzykiem i drągami, ale usiłowania te nie przyniosły najmniejszego skutku. Zapaśnicy parli się łbami, lub odskakiwali od siebie, aby po chwili zewrzeć się nowem, straszmem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Chłopci pouciekali, żubr zaś bódł go jeszcze przez pewien czas ze wściekłością. Nazajutrz, w dzień, znaleziono byka z rozdartym brzuchem, z wnętrznościami na zewnątrz — prócz tego wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchothane i zmiażdżone. Historię tę opowiadał mnie i Glogerowi młody budnik, który nas woził do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska.

Obecnie niema już prawie niedźwiedzi w puszczy, ale czytałem w swoim czasie, że żubr, zaczepiony przez niedźwiedzia, pokonywał go z łatwością. Zato trzy, a nawet dwa wilki, kładły po pewnym czasie najtęższego pojedynka, gdy bowiem jeden skakał mu przed łbem, drugi korzystał z czasu, by wyrwać mu dziurę w boku i wypuścić wnętrzności. Stada jednak żubrowe nie obawiały się wilków, choćby po Matce Boskiej Gromniczej połączonych w gromady.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite, zato jest dłuższy i silniejszy w zadzie. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz Litwin nie ustępuje Amerykaninowi, ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i niskich stepach setki tysięcy — liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Mnożą się one bardzo powoli, gdyż cielęta ssą bardzo długo. Trzyletnie ogromne byczysko musi klękać na przednie nogi, chcąc dostać się do wymienia matki, a jeszcze ją wysysa. Za rządów pruskich, liczba tych zwierząt zmniejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Wówczas to z Białostockiego obwodu wpadały suchą granicą całe bandy kłusowników, które stawiały opór leśnikom i wybijały żubry niemal otwarcie. Przy gospodarstwie pruskim nie byłyby zapewne takie nadużycia długo trwałe, na razie jednak nie podobna było im zapobiedz. Później, w roku 1821, liczono już tylko 370 sztuk. Raptowne to zmniejszenie wywołało surowe zakazy polowania. Do puszczy nie wolno było wjeżdżać z bronią, odjęto ją również i osacznikom; rozciągnięto nadzór nad samymi leśnikami, a kary za zabicie żubra były nader surowe. To też w roku 1829 liczba żubrów sięgała już 800, choć zbyt ścisły zakaz polowania wywołał inne zło. Wilki mianowicie rozmnożyły się tak nadzwyczajnie, że w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt sztuk. Leśnicy nie śmieli chodzić po puszczy.

Jest dotąd tradycja, że wilki oblegały ich zimową porą nawet w chatach. Nocami ostępy brzmiały takim wyciem, że całe wsie ogarniało przerażenie. Potem wydano leśnikom rozkaz wytępienia wilków, których liczba zmniejszyła się znacznie. Dziś są one rzadkością w puszczy i trzymają się tylko w części boru, zwanej Nieznanowym Rogiem, który nawet w zimie, z powodu niezamarzających oparzelisk, jest prawie zupełnie niedostępny. Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów da



się wytłumaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, po części rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się, nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czuje się swobodnym i nie mnoży się, jakby mógł, gdyby nic nie mąciło ciszy leśnej.

Chłopi obowiązani są stawiać zimą zebrane stogi z tomki i miodunki, ale stawiają je także w pobliżu wsi i dla swego bydła. Owoż żubry, zimą mniej płochliwe, częstokroć zachodzą i do wiejskich stogów. Wówczas cała wieś wypada, krzyczy, strzela na wiatr i płoszy zwierzęta, które potem i do stogów dla siebie przeznaczonych zbliżają się z obawą, lub nie zbliżają się wcale, zadowalając się trawą, wydobywaną rogami z pod śniegu, i przymierając głodem. Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś niema już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrosze kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głośny strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Słyszałem też o pewnym Żydku, zamieszkującym daleko od puszczy, który sąsiadującemu z nim obywatelowi ofiarował się sprzedać żywe cielę żubrowe. Obywatel propozycję odrzucił, świadczy ona jednak, że kłusownicy nie są mitami, a wyniszczanie przez nich żubrów nie stało się li tylko tradycją. Osadzić w puszczy tylko leśników, przenieść z niej wsie gospodarskie i uczynić ją jednolitym borem — oto byłby środek, trudny wprawdzie, ale skuteczny do pomnożenia żubrów. Przekonanie zresztą, że nie mogą one żyć gdzieindziej tylko w puszczy Białowieskiej, jest mylne. Naprzód, kilkadziesiąt sztuk żyje w Świsłockiej, oddzielonej od pierwszej Narwią — powtóre, mnożą się podobno na Śląsku u księcia de Plees, z kilku osobników, darowanych mu przed niedawnym czasem. Łączą się także z bydłem domowem i wydają dziwne potomstwo — potężne, z wysokim garbem nad przedniemi łopatkami, z szerokiem łbem i bujnym zarostem czoła i brody. Póki małe, mieszańce owe są łaskawe i wesołe; z wiekiem stają się płochliwe, dziczeją i roztrącają swojskie bydło. Potomstwa dalej nie wydają, co dowodzi, że żubr jest odmiennym od naszego bydła gatunkiem.

Obliczanie żubrów odbywało się dawniej nader prostym sposobem. Cała puszcza była podzielona na dwanaście straży, które miały kształt trójkątów zbiegających się wierzchołkami we wsi Białowieża Nowa; podstawę zaś trójkątów stanowiły brzegi puszczy. Straże były następujące: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowiska, Krakowska, Okolnicka, Świetliczańska, Pobielska i Dziadowłańska. Każda była pod zawiadowaniem starszego leśnika i dzieliła się na ostępy, nad którymi czuwali młodszy leśnicy. Owoż, gdy śniegi spadły, obliczano żubry w ten sposób, że każdy młodszy leśnik karbował na kijku wedle śladów

wszystkie sztuki, które weszły do jego ostępu lub z niego wyszły. Te, które wyszły, powinny się były znaleźć zakarbowane w sąsiednich ostępach, jako przybyłe.

Wieczorem składano wszystkie kije u nadleśnego i wówczas rachunek już był łatwy, bo żadna sztuka nie mogła być ani pominiętą, ani porachowaną dwa razy. Być może, że tego sposobu używają jeszcze i dzisiaj, o ile pozwala na niego nowy podział i nowe, odmienne gospodarstwo w puszczy.

Trafiliśmy właśnie na jakąś komisję, która zabrała się do nader surowego obrachunku z miejscową administracją. Stąd złe humory i niepokój. Rzeczywiście, administracja tak olbrzymiego lasu nie jest łatwa, ale też bez zaprzeczenia ogromne skarby marnują się w puszczy. Sosny masztowe sprzedają się po pięćdziesiąt kopiejek — i dla trudności przewozu nikt ich kupować nie chce. Drogi wprawdzie są nie złe, ale niema szos, a choćby i były, zawsze przy handlu drzewem komunikacja lądowa jest trudną i niepożyteczną. Rzeki puszczańskie bywają spławne w czasie przyboru wody — mało jednak wychodzi drzewa i niemi. Tymczasem wychodzić powinno, byle użytkowano z niego rozumnie i tamowano nadużycia.

Mniemanie, że dla dobra lasu należy go zostawić nietkniętym, jest mylne. Przedewszystkiem należy go czysto utrzymywać, a jakże pod tym względem wygląda puszcza? Oto na ogromnych przestrzeniach, wszędzie niemal, leżą zwały drzew. Stosy te, spróchniałe i gnijące, piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad nimi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty. Stare drzewo, padając, wyrwa całą przestrzeń ziemi, którą obejmowały jego korzenie. W wyrwanem miejscu tworzy się dół, w którym zbiera się woda deszczowa. Dziwny i przerażający widok przedstawiają takie ostępy: grunt porwany, pełen zasadzek, pnie, wykroty i suche, powykręcane rozpaczliwie gałęzie, które pokrywa mech lub plugawa wilgoć, wypełniają całą przestrzeń; wśród chaosu drzewnego, prześwieca bagno — wszystko razem pomieszane, połamane, zniszczone, dzikie, zmarłe i gnijące — oto obraz. Nawet powietrze tam ciężkie, przesycone wonią próchna i zgnilizny.

Cisza! Słyszać tylko kowanie dzięcioła, który wśród próchna znajduje łup obfity. Jest to ojczyzna skórników; gnieźdzą się one tu milionami. Stąd przenoszą się na inne drzewa, toczą je, wysysają. Żubr i jeleni tu nie zachodzą, łoś tylko wyleguje się bezpiecznie w bagnisku.

Mimowoli przychodą na pamięć słowa Mickiewicza:

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy  
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,  
Zna ich ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,  
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice,  
Wieść tylko, albo bajka, wie co się w nich dzieje.  
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,

Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni  
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,  
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.  
Gdybyś i te zapory zniósł nadludzkiem męstwem,  
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem;  
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,  
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,  
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą  
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą).  
Woda tych studni lśkni się, plamista rdzą krwawą,  
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,  
Od której drzewa w koło tracą liść i korę;  
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,  
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,  
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,  
Grzejących się nad kotłem, w którym warzą trupa.  
Za temi jeziorkami, już nietylko krokiem,  
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,  
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,  
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi...

Ile szkody przynoszą puszczy takie ostępy — łatwo zrozumieć. Dodajmy do tego, że każde ze starych drzew, padając łamie i gniece w upadku dziesięć młodszych, zdrowych jeszcze. W Niemczech nie pozwalają starym olbrzymom usychać i umierać na pniu; tu, miejscami, na całych morgach, nad młodym lasem wznosi się las sosen uschłych. Nic posępniejszego, niż wrażenie, którego się tam doznaje. Na drzewach niema nietylko igieł, ale i kory. Są to nagie olbrzymie szkielety, poczerniałe od wiatru i słońca. Całość wygląda jak jaki cmentarz leśny. Należałoby takie trupy uprzętać, nim zostaną trupami — bo, powtarzam, są to zmarnowane skarby, które zamiast korzyści, szkodę jeszcze przynoszą. Wartoby dla ich spławy i koryta rzek uregulować. Zysk ze sprzedaży opłaciłby robotę, administrację i przyniósłby jeszcze czysty dochód.

Dlaczego tak się nie dzieje, trudno wiedzieć. Może rąk brak, choć, gdy się pomyśli, ile jest wsi w puszczy, jaka łatwość robotnika — i to przypuszczenie nie zdaje się prawdopodobnym. Może komisya obecna niejasne dotąd przyczyny wyjaśni?

Czas schodził nam wieczorami na słuchaniu głosów jeleni, we dnie na wycieczkach i zabieraniu znajomości z ludem puszczańskim.

Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Niebo dopisywało nam znakomicie, dni były prawdziwe jesienne, blade, ale pogodne, tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiono na czerwono liść spływał milionami

z drzew na ziemię, napełniając puszcę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno szukać poza nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkim, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite.

W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bładem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystkim jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszcę widzieliśmy szczególnie podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa rosną w pomieszaniu obok siebie. Ostęp zwie się Zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale napróżno pytać ludzi i kronik: kiedy to było? Dziś są to kupy ogromnych głazów, między którymi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska, wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie; czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny, ubramowany głazami — widoczne ślady budowy — ale nic więcej. Pod starymi drzewami szarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suche drzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że niema jej nigdzie za puszcza, w puszczy zaś upodobała sobie szczególnie tę miejscowość.

Kto stawiał zamek? Może Jadźwingowie? Może który z książąt litewskich? Są to tylko przypuszczenia. Wieki przeszły nad tą ruiną, i dziesiąte pokolenie drzew na niej wyrasta. Tylko baśń, jak nić pajęczna, czepia się gruzów. Budnik, któremu nocą wypadnie przejeżdżać koło Zamczyska, przejeżdża szybko i żegna się. Mówią, że gdy jest ciemno i ciepło, błędny ognik skacze z kamienia na kamień; mówią, że są tam podziemia. Leśniczy Tołścik, człowiek dość wykształcony, z zupełną wiarą zapewniał nas, że raz znaleziono pieniądze, ale że się w chwili, gdy ich dotknięto, zapadły. Budnicy wierzą w to święcie, i ktoby dłużej pobył między nimi, tenby zapewne mógł zebrać sporą wiązkę podań, a może i pieśni, które, jak »arka przymierza« połączyły dawne lata z nowymi.

Na drodze do wsi Białowieży spotykasz się już nie z legendą, ale z tradycją historyczną. Obok drogi wznosi się góra, zwana Batorową. Każdy budnik opowie podróżnemu, że na szczycie jej zasiadł do uczy »bardzo mocny« król, który przedtem kilka dni w puszczy polował i nabił żubrów i niedźwiedzi co niemiara, a do tego oszczepem.

W samej wsi Białowieża jest jeszcze wyraźniejszy ślad przeszłości. Wznosi się tam czworokątny słup kamienny, na którym czytasz napis, że Najjaśniejsze Państwo, król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami, polowali w puszczy i zabili 42 żubry, trzynaście łośiów, dwie sarny i t. d. Są też wyryte i nazwiska urzędników, rozmaitych dygnitarzy litewskich i koronnych, oraz gości saskich. Podana także waga największych sztuk ubitych.

Białowieża leży w samym środku puszczy; jest to ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszkała przez mieszaną ludność Mazurów,

Litwinów i Rusinów. Nazwę swą zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która niegdyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — nikt nie pamięta — i o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych. Gloger, który ich poszukiwał, nic nie odkrył. Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworzków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania, o czym niżej przyjdzie mi mówić, tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie, w porównaniu z wielokolorową cerkwią, wzniesioną niedawno dla eksuniatów. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, trzymany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanymi słupami i mnóstwem koronkowych ozdób, rzniętych w drzewie. W pawilonie ma być księga, zawierająca malowane obrazy dawnych niefortunnych polowań, na których strzelcy, uciekając przed zubrami, zaczepiają się za wyloty od kontuszów o drzewa.

Sprzeciwia się to tradycji o dawnych, olbrzymiej siły łowcach, którzy, chwyciwszy żubra za rogi, wywodzili go z ostępu.

Dzisiejsze polowania odbywają się prawie wyłącznie w zwierzyńcu, w którym łatwiej znaleźć stada. Rozumie się także, że obecnie polowania z dzisiejszą bronią palną przedstawiają daleko mniej niebezpieczeństwa, niż dawniejsze, zwłaszcza, że na wielkich łowach używają zwykle kul pękających.

Cała wieś Białowieża jest to polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska, zwanego Browsk. Być może, że nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszcę. Na Narwi, Narewce, Liśnie, Łętowni, oraz na strumieniach leśnych, były liczne żeremia. Obecnie i pamięć o nich zaginęła. Weszło teraz w modę zrzucać wszystko na złe i nieopatrzne gospodarstwo dawnych czasów, a jednak dawne prawa polskie opiekowały się bobrem nader starannie i stanowczo. Wedle Statutu Litewskiego, kto miał choćby w cudzej ziemi kupione gony bobrowe, mógł żądać, by zwierzątek nie płoszono dla podorywki lub sianożęcia, gdyż bóbr straszony »traci przemysł, który społeczeństwu bobrów czyni go pożytecznym«. Puszczańskie żeremia były najliczniej zamieszkane, a gony bogate i w zapasy obfite. Nie było też sławniejszych skór, niż białowieskie, i te płaciły się najdrożej. Obecnie słyszałem, że bobry trafiają się jeszcze na Polesiu, ale rzadko.

Administracja puszczy zasłużyłaby się prawdziwie, gdyby postarała się o sprowadzenie tych zwierząt, o osadzenie ich i rozmnożenie napowrót po rzekach i strumieniach. Trzebaby tylko, aby dzisiejsze prawo otoczyło je taką opieką, jak dawne polskie i litewskie.

W strażę Browską nie zapuszczaliśmy się zbyt głęboko, gdyż brak czasu stanął nam na zawadzie. Jest ona w znacznej części, przynajmniej z brzegu, pokryta czarnym bobrem. Nie widziałem tam także owych cmentarzysk, na których sterczą uschłe

i ogołoczone z kory i liści sosny. Starodrzew wyniosły, ale zdrowy, jędrny. Igliwie obfite, tak, że dal nie jest różnobarwna, jak w innych okolicach puszczy, ale jednolista, ciemna. Pod spodem czysto; knieja nie podszyta, powietrze przesycone balsamem żywicznym. Jest to jedna z najpiękniejszych straży. Musi być tylko strzeżona pilniej od innych od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Sosna ma mniej wilgoci, a więcej żywicy od innych drzew, i sosny też w razie wypadku zapalają się jedna od drugiej, jak świece. Pod tym względem porządek zachowywany w puszczy wiele pozostawia do życzenia i nagany. Rozkładanie ognia jest surowo wzbronione, ale pilnowane słabo. Wracając z Zamczyska, widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrażył ją i potworzył sobie przeloty, którymi strzelał wysoko w górę. Poszedł on także na kilkanaście stóp wokoło i zatrzymał się dopiero u granicy mchów wilgotnych, którymi, na szczęście, miejscowość była otoczona. Odjechawszy, widzieliśmy jeszcze długo połyskującą wśród mroku lunę, jakoby kuźni, w lesie ukrytej.

Pożar jest najstraszniejszą klęską, jaka się tam zdarzyć może. W 1811 roku tłuł puszcę przez trzy miesiące, od czerwca do października. Ratunek wszelki nie zdał się na nic. Ostępy, pokryte drzewem iglastem, zapalały się od żaru iskier, nim płomień do nich doszedł. Ludzie założyli wkońcu ręce i czekali zmiłowania bożego, które też przyszło nareszcie pod postacią potoków deszczu. Ogień rozkładają najczęściej dzieci pasące bydło, bo starsi tego nie czynią. Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny.

Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony rzecby można od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycji i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud to przytem, który nie znał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli. Wsie puszczańskie zamieszkane są przez Litwinów, Rusinów i Mazurów. Ci ostatni, sprowadzeni przed wiekami dla wytapiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsie całkowicie, w innych pomieszani są z Litwą i Rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakże warunki bytu, wyrodziły i cechy jednakże w mieszkańcach, tak, że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych niewiele pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamysłone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne, a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych

i uduchowionym wyrazie. Lud to trzeźwy, gościnnie i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce, mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła jak tylko mogą najczęściej. Mieszkańcy Bud są wszyscy katolicy, mieszkańcy Białowieży po większej części. Nie brak tam jednakże i eks-unitów. Ludność Teremissów, Orzechowa, Hurynowa, Skopowa, Narewki, Mielnika, Niemierzy, Tuszelmy etc., jest przeważnie mazurska. Puszcę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsie nazewnątrż niej, spytaliśmy powożącego nas budnika: czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi?

Jeżeli o Litwinach mówią, że przeciągają, to przeciąganie to w puszczy dochodzi u Mazurów i nie-Mazurów do takiego stopnia, że się uszom nie chce wierzyć. Między innemi opowiadaliśmy naszemu budnikowi o jubileuszu częstochowskim. Słuchając, wznosił swoje śliczne błękitne oczy do góry i powtarzał z zachwytem: „Ach, Boże! Boże!” — ale wymawiał: „Ach, Buuooooże! Buuooooże!” Jest to już nie przeciąganie, ale po prostu śpiew.

Na zapytanie: czy umie czytać? — odpowiedział:

— Panie u nas ani jednego niema we wsi, coby się z książki nie modlił.

Jest to nawet dziwne u ludu tak zamkniętego, tak oderwanego od reszty świata, a jednak prawdziwe. Kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą ich dobrze, a mogą, bo prawie wszyscy są nader zamożni. Uważali się zresztą po wszystkie czasy za coś lepszego od pańszczyźnianych, a za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać.

— My, panie, byli królewscy ludzie, wolni — mówił nasz przewodnik. — Do nas jeszcze i z okolic „wciekali”, bo jak kto wciekł, tak my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była...

Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście i wielu pańszczyźnianych „pod królewską rękę”. Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych to powodów legenda otoczyła wspomnienie króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach, przy świetle łuczywa, o wielkich łowach królewskich, o zjazdach, o złocistych karetach i rycearzach, którzy je otaczali. W jednostajnem puszczańskim życiu pamięć trwa długo, bo nie ścierają jej zewnętrzne wrażenia. Lud ten żył przez całe wieki nader spokojnie; zmiany, które gdzieindziej wstrząsały bytem wieśniaczym i sprowadzały niejednokrotnie rozbrat między dworem a chatą, tu, dla samego już braku dworów, nie odbijały się wcale. Tu chłop od wieków władał ziemią, więc nowsze czasy nie przyniosły nic nowego. Może dlatego na ubranego w surdut wędrowca patrzą tu ciekawie, ale witają go serdecznie, jak gościa, ale i swojego zarazem.

Więcej zmian wprowadziły nowsze czasy w kaście dawnych leśników. Mówię: w kaście, gdyż urzędy te przechodziły przez wieki całe z pokolenia na pokolenie. Dziś wielu jest między nimi ludzi ze stron dalszych, wszystkich jednakże niepodobna

było zastąpić, bo ażeby znać puszcę i umieć sobie w niej radzić, trzeba się w niej wykołysać. Próbowano zastąpić miejscowych osadników mieszkańcami innych dalekich lasów i razu pewnego sprowadzono tych ostatnich, jako nadzwyczaj biegłych, na jakieś wielkie polowanie. Ale cóż się stało? Oto odrazu wszyscy pogubili się w puszczy, i łowy nie udały się zupełnie. Nasz budnik opowiadał nam o tem z pewną dumą.

— Kto, panie, puszczy nie zna, — mówił — a zjedzie z drogi, ten i przepadł. U nas złodziej konia nie ukradnie, bo ucieka drogą, to go złapiem, a zjedzie, to będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie... Tak, panowie!

Jaka szkoda, że ten, tak ciekawy lud, tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni! Zadanie wdzięczne, dotąd nie spełnione, czeka na podróżnika—badacza.

Również nie dość znaną dotąd jest cała puszcza, a niezawodnie zawiera ona prawdziwe skarby zwierzęce i roślinne, ukryte jeszcze w znacznej części.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moje opowiadanie mogło kogo zaciekawić i zachęcić. Inne części kraju znane są lepiej, a może nie są tak ciekawe, tak odrębne, może nie tworzą takiego zamkniętego w sobie świata. Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, żyć z nią lepiej, ale po kilku dniach musieliśmy niestety zaśpiewać Mohortową piosenkę:

„Czas do domu, czas!  
Zabawili nas!”

Przytem niebo zawlokło się chmurami, i począł padać deszcz, obfity a uparty. Zasepiła się cała puszcza i zaszła mgłą... Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną. Siedliśmy tedy na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty.

Otoczyły nas znowu równie sennie. Budnik miał słuszość: widno na tych równinach i nago. Myśl też chętnie wraca do tych lasów odwiecznych, i pióro chętnie dzieli się wrażeniami z czytelnikiem...

[H. Sienkiewicz, *Z puszczy Białowieskiej*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1907]